



MGMT

Mistrzowie psychodelicznego popu

Rozmowa z MGMT

Liryczni hedoniści, dźwiękowi eklektycy, mistrzowie psychodelicznego popu, objawienie ubiegłego sezonu – po sukcesie debiutanckiego albumu "Oracular Spectacular" i wyczerpującej trasie koncertowej muzycy MGMT wracają do studia. Zanim jednak prace ruszą pełną parą, we wrześniu grupa przyjedzie prostu z Malibu na koncert w ramach Orange Warsaw Festival 2009. Specjalnie dla "Machiny" ostatni rok, który upłynął zgodnie ze słowami "Życ szybko i umrzeć młodo" z przeboju "Time to Pretend", podsumowuje Ben Goldwasser.

Po raz pierwszy usłyszeliśmy o MGMT pod koniec 2007 roku, gdy byliście wszędzie wymieniani jako "najlepsza nowa grupa roku 2008". Czuliście wtedy, że nadchodzi wasz czas?

Nie. Te wszystkie wzmianki strasznie nas denerwowały. Wydawało nam się wtedy, że jesteśmy jeszcze słabi, że nie zasługujemy na taką uwagę. Baliśmy się, że będziemy takim wyhajpowanym, beznadziejnym produktem. Że rozczarujemy wszystkich - "ten chłam to jest ta następna wielka rzecz?!". Że wyda się, że nie jesteśmy wcale tacy dobrzy, jak wszyscy wokół mówią. Koszmar, serio.

Wiesz, jak pisali o was wtedy w Europie? Że jesteście "amerykańskimi Klaxons".

Nie wysilili się zbytnio i chyba niespecjalnie trafili. Ale rozumiem to. Kiedy słyszę nową muzykę, też staram się ją jakoś opisać, skategoryzować. Kiedy mówię o tym komuś, upraszczam, by jak najłatwiej było skojarzyć. Takie widać sprawialiśmy wtedy pierwsze wrażenie, a nikomu nie chciało się popatrzeć po raz drugi. Przerobiliśmy sporo dziwnych porównań, spotkaliśmy mnóstwo osób, które zupełnie nie miały pojęcia co robimy. Fajnie mieć świadomość, że w całym tym zamieszaniu, usłyszeli jednak coś, co ich przyciągnęło. Fajnie wiedzieć, że się coś takiego ma.

Cokolwiek to jest... Poza tym, nie oszukujmy się, bez całej tej prasy wtedy, nic by się nie zdarzyło.

Myślę, że sukces MGMT właśnie polega na samej waszej muzyce, bo nie da się jej tak łatwo zaszkladkować, opisać czy zaklasyfikować.

Coś w tym jest. Nie chcemy robić żadnej rewolucji. Mamy niezły ubaw, tworząc muzykę, której zawsze chcieliśmy słuchać, tylko jakoś nikt nigdy jej nie grał. Wyciągnąć na światło dzienne to, co grało nam w środku. I tyle. Nie mamy specjalnie wielkich ambicji. Nie wiem, czy już myślę o tym wszystkim jak o profesjonalnej, popularnej kapeli. Długo nie mogłem uwierzyć, że to wszystko się stało, że przytrafiło się właśnie mnie. Myślenie o takich rzeczach zabija radość. Wciąż nie wiem, ile to wszystko potrwa, czy za chwilę się nie skończy. Ludzie znajdują sobie nowych ulubieńców, nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

A jak wspominasz ten czas promocji płyty? Muzycy Fratellis opowiadali mi, że w trasie, odcięci od świata, sukces mierzą tylko rosnącą publiką...

Zaczęliśmy to tak naprawdę zauważać rok temu, latem. Ciężko czynić spostrzeżenia, jeśli jest się ciągle w drodze, tak szybko zmieniają się skale porównawcze. Nie mamy czasu na oglądanie telewizji, na słuchanie radia. Nie bardzo jest jak dostrzec, ilu ludzi wie o twoim istnieniu, kto słucha twojej muzyki. Teoretycznie rok temu mieliśmy na koncie spory sukces, a wciąż byliśmy zdziwieni tym, że ktoś lubi tę kapele, czy ma naszą płytę. Poza tym, jakoś tak głupio czuć się kimś sławnym, czy jakoś tak.

Ile razy byłeś pytany przez dziennikarzy o to, czy tekst do "Time To Pretend" jest oparty na prawdziwych doświadczeniach?

Przestałem liczyć. Cały, kurde, czas.